№ 49. Warszawa, dnia 24 Listopada (6 Grudnia) 1894 r. Rok XXX.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie;

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół.. kwartal. 5 marek.

Kobiety w życiu Danta.

W życiu każdego poety miłość zajmuje miejsce wielkie; ideał piękna, który wyobraźnia stawia mu przed oczyma budzi mu w sercu pragnienie urzeczywistnienia tego, co w marzeniach swych wytworzył, dlatego też zdolnym jest kochać nawet wtedy, gdy miłość szczęściem go nie darzy, jeżeli tylko żywe życie przedstawia mu pewne zarysy tego, co w poetycznych snach swych oglądał i do czego tęskni teraz, czego szuka wśród realnych życia stosunków. Takim ideałem była dla poety włoskiego Beatricza; od pierwszej do ostatniej karty jego poezyi ciągnie się złota nić marzeń, tęsknot, pragnień, których jest ona przedmiotem i staje się natchnieniem wszystkiego, co tworzył. Ona to jest z nim, gdy pisze z filozoficznym spokojem „Convito,“ gdy kreśli wspaniale strofy „Komedyi Boskiej,“ gdy z gorącym zapałem młodości i wrzącego mu w piersi uczucia kreśli „Vita Nuova.“ Przewodnią gwiazdą jego życia była ta ukochana tak stale, tak wiernie choć ukazująca mu się tylko w oddali jak widzenie anielskie, bo zamienił z nią zaledwie słów kilka, a wydaną za mąż dziewczęciem śmierć zabrała sobie o poranku życia. Lecz on dał jej istnienie nieśmiertelne, bo przez szereg wieków historya jego miłości, mieszcząca się w „Vita Nuova,“ ukazuje ją nam w całym uroku jej dziewiczej piękności, jej słodkiego wdzięku—w mistycznem oświetleniu życia, które upłynęło jej cicho w rodzinnym grodzie, gdzie przecież wrzały namiętne walki Gwelfów i Gibellinów, gdzie ludzie padali na ulicy zasztyletowani, a grunt pod ich nogami zdawał się być podminowanym.

Beatricza ukazała się raz pierwszy oczom poety gdy miał lat dziewięć a ona była niewiele, bo tylko o rok jeden od niego młodszą. Spotkanie to dwojga dzieci stało się przecież dla obojga pamiętnem, bo on nie zapomniał jej nigdy i przez życie całe pamiętał jak była ubraną — pamiętał, że kolor jej sukienki był ciemno-karmazynowy. Widywał ją potem niekiedy sposobem przypadkowym; spotykał czasem na ulicy, zapewne gdy szła na mszę do małego kościołka San Martino, który wznosił się naprzeciwko kamienicy jego rodziców i dopiero spotkanie, które nastąpiło potem w lat dziewięć, stało się dla obojga wyrocznem.

Komentatorowie życia poety przypuszczają, że zapewne nie było go przez ten czas we Florencyi, że kształcił się na uniwersytecie jakiegoś innego miasta włoskiego, gdy przecież ujrzał ją raz wtóry, wyroczny to był moment dla życia obojga. Była ona wtedy w białej sukni, a widok jej, widok jej piękności rozkwitającej jak kwiat lilii, wywarł na niego wrażenie tak silne, że natchnienie poezyi zstąpiło nań nagle. Oczarowany wdziękiem dziewiczej piękności, uciekł czemprędzej do domu aby pieścić się marzeniem o niej i pod natchnieniem tego uczucia stał się poetą — skreślił pierwszy wiersz: pierwszy sonet.

Od tej chwili serce jego biło wyłącznie dla ukochanej, która stała się w całem znaczeniu tego wyrazu panią jego myśli. Jej uśmiech przy zamianie ukłonów wprawiał go w zachwyt, spojrzenie obojętne, wyraz twarzy chłodniejszy przenikał serce jego rozpaczą i wrażenia te działały tak silnie, że towarzysze, przyjaciele jego poznali w końcu stan jego uczuć, a gdy młoda dziewica, przyjaciółka Beatriczy, umarła niespodziewanie, zaziębiwszy się, jego opanowała rozpacz. Więc i ona, ta wdzięczna, ta jego ukochana może też zniknąć mu tak z przed oczu, ujść w zaświat... a gdy smutnym zbiegiem okoliczności umiera jej ojciec, ogarnia go trwoga okrutna, śni, że i ona jest już martwym trupem, widzi ją w marzeniu bolesnem złożoną na katafalku—widzi jak młode jej towarzyszki pokrywają ją welonem czarnym i budzi się lejąc łzy, łkając rozpacznie woła on teraz w ukorzeniu się pokornem: „Bóg, który jest sprawiedliwością, powołał do siebie najmłodszego z aniołów...

Zbolałe jego serce czuje przecież pustkę życia okrutną; ideał jego ziemski uszedł w zaświat i zostawił go samotnym, ledwo że u progu istnienia, więc ogarnia go rozpacz dzika, rzuca się szalenie w wir świata, w wir zły i w dół strącający, ale czarna ta chmura zwolna przechodzi. Nie! Beatricza nie przestała istnieć!... uszła tylko z tego biednego świata w sfery wyższego, szczęśliwszego istnienia, Bóg powołał ją do siebie.

Boleść jego staje się teraz cichą i łagodną, uspakaja się w istocie swej wewnętrznej a zarazem odsuwa się od tego świata, w który strąciła go rozpacz tej myśli, że szczęście ludzkie jest jak ten promień słońca, który w każdej chwili może nam zasłonić nadpływająca chmura. Szuka on teraz ulgi w czytaniu dzieł filozoficznych i utracona równowaga jego istoty wewnętrznej powraca zwolna. Zaczyna tworzyć, ideał kobiety jaki przedstawia mu wiernie ukochana jest mu przytomnym zawsze i Beatricza żywa czy umarła istnieje i istnieć już będzie dlań po koniec jego życia na ziemie, a w zaświecie spotkają się ze sobą i nierozłączą już nigdy. Jest ona w *Divina Commedia* mądrością niebiańską, przecież obrazuje on ją tutaj taką, jaka przedstawiała się oczom jego w aureoli piękności swej dziewiczej, tylko tak podniesiona do ideału, że postać jej przeaniela się i przestaje już niejako być istotą ziemską.

Potrzebował tego poeta, aby stworzyć ideał, jaki nosił w duszy swojej, niemniej nie zaciera on rysów jej wdzięcznej postaci, którą spotykał jeszcze niekiedy na ulicach Florencyi. Patrzyła ona wtedy na niego litością głębo-

ką; o losach jej dalszych bardzo mało zostało przekazanem potomności, ale dość tego, aby żyła wiecznie w historyi poezyi, złączona węzłem nierozerwalnym z twórcą jednego z najwyższych arcydzieł poezyi, jaką wydała z siebie tęsknota człowieka do zaziemskiego ideału.

(Dokończenie nastąpi).

BEZ WOLI

POWIEŚĆ

przez

WANDĘ GROT. BĘCZKOWSKĄ

(Dalszy ciąg).

— Śliczny komplet—mruknęła do siebie Lili z najwyższą niechęcią. Taki mąż, stara nieznośna matka, zarozumiała Wanda i te dzieciaki, dopominające się o chleb z powidłami na podwieczorek! Ależ to wstrętne! Jak ja żyć potrafię w takim otoczeniu?.. Lora, oczywiście, gdy za mąż pójdzie, musi tu zaprowadzić zmiany. Byle tylko nie odwłóczyła ślubu...

Myśl jakaś, przyjemniejsza widocznie od poprzednich, przemknęła jej przez głowę, bo twarz jej się rozjaśniała.

Czy też Borzycki bardzo się zmienił i jak ją powita? Staś mówił, że nie bardzo się zestarzał. Że też dotąd, tak się zawsze składało... przychodził wtedy, kiedy jej u męża nie było... Co prawda, rzadkim była tam gościem w ciągu tych dni kilkunastu, które od przyjazdu do Warszawy upłynęły.

Zerwała się z kanapki i podeszła do lustra. Staranny przegląd resztek wielkiej urody wypadł jako tako pomyślnie. Te oczy płomienne mogły jeszcze niepokój w sercu niejednego mężczyzny obudzić. Płeć trochę przywiędła... ale ją można sztucznie ożywić.

Zagranicą zrobiła sobie zapas kosmetyków i pachnideł...

— Lili, moja droga—ozwał się nagle Stanisław.—Powiedz mi, czy ty doświadczasz kiedy czegoś podobnego? Nie uwierzysz jakie to męczące...

— Ale cóż wreszcie? Nie wiem o czem mówisz? — zawołała niecierpliwie, odchodząc od lustra, Lila.

— Bo to widzisz...—zaczął, namyślając się—to nawet jest śmieszne trochę... siedzę sobie najspokojniej, w tem napada mię ochota spojrzeć na te kółka perłowe co są na obiciu twego salonu. Patrzę, a potem zaczynam rachować jedno po drugiem rachuję i rachuję i dochodzę do liczb olbrzymich. Przecież to niepodobna, aby ich tyle było? Porachuj, ty z łaski swojej... Mnie tak już skaczą i w oczach i w głowie...

Lila spojrzała na niego zdziwiona.

— Co ci też znowu przyszło do głowy, Stasiu!—mówi, biorąc butelkę i podniosła ją ku światłu.—To mu chyba nie zaszkodziło—szepnęła.—W każdym razie dość tego na dziś.—Czy nie pojedziemy na spacer?—pyta męża. — Świeże powietrze dobrze ci zrobi... Zawołam Lorci...

— Tobie się zdaje, Lili, że tak łatwo oderwać myśl, gdy się uparcie nad czem zatrzyma—odzywa się w pół cicho Stanisław. — Wiesz? nieraz w domu to się tak czuję zmęczonym, gdy mnie wizye rozmaite opadną... Radbym uciec, skryć się przed niemi, ale nie puszczają...

— Cóż doktorzy na to? — pyta Lila dość obojętnie.

On znów rachował. Teraz już półgłosem, dobitnie, wymawiał liczby, cały rachunkiem tym pochłonięty. Dla Lili stawało się to nużącem. Przeszła do sąsiedniego pokoju, chcąc porozmawiać z Lorą, ale i tu zawód ją spotkał.

Lora spała. Okna były otwarte, wiatr lekkim, świeżym podmuchem pieścił jej czoło, na którem pot się perlił.

Spała z ustami w pół otwartemi, oddychając z trudnością; nie był to sen, który pokrzepia.

Matka z trwogą pochyliła się nad nią.

Jak ona dziwnie wygląda?—pomyślała, ocierając chusteczką, spoconą twarz córki.—Te sine koła pod oczami i tak zeszczuplała... Czyżby ten związek z hrabią?.. ale ona ma zanadto rozumu... To nie ta głupiutka idealistka Wanda.

Lekko, pieszczotliwie, poplątane loki odrzuciła z czoła Lorci, usiadła obok niej i poruszać zaczęła wachlarzem, chłodząc rozpaloną twarz dziewczęcia.

Niespokojne myśli ją opadły. Czyżby Lorcia istotnie była chorą? Tego-by tylko trzeba było. A jednak kaszel, już blizko od roku ją męczy, i Sabina w Dreznie jeszcze wspominała o tem...

Natrętna myśl jakaś stałdowała jej czoło. Przypomniała sobie wstręt, jaki ona sama do hrabiego czuła wówczas, gdy zaręczyła się z nim w Paryżu. Dla czegóżby z Lorcią miało być inaczej?

Tak, z pewnością, to jest przyczyną, dlaczego dziewczę mizernieje... Ale czy jest jaka rada? Dla Lorci, o partyę inną trudno będzie... Wiedziała przecież sama, jak w Dreznie, mimo, że zachwycała wszystkich urodą, nikt się o rękę pięknej panny Kamienieckiej nie oświadczył. Przy tem wspomnieniu rumieniec jaskrawy twarz jej oblał...

Ani wiedziała kiedy, przyszło do obrachunku z samą sobą. Czy to, co odstręczyło Zglińskiego, nie odstręczało i innych? W każdym razie, kilkoletnie rozłączenie z mężem, ciągła obecność hrabiego, który towarzyszył im w wycieczkach zagranicą... musiały wywołać pewne domysły i niezbyt korzystne dla niej uwagi.

Tak, wiedziała o tem aż nadto dobrze, że jej lekkomyślność jedynie, zmusiła Lorę, do przyjęcia oświadczyn hrabiego. Ona pierwsza, namawiała ją do tego... Musiała. Bo czyż był inny sposób wyjścia z położenia tak kłopotliwego, w jakiem się znalazły obiedwie przy końcu pobytu w Dreznie?

I do domu, do męża nie mogła wrócić inaczej. Nie byłaby mu przecież napisała, że brakło im pieniędzy i chcą wracać... A gdyby nawet, litując się nad ich położeniem, Stanisław przyjąłby ją do domu swego, to w żadnym razie, nie byłoby to owo wejście tryumfalne, które imponowało zaręczynowym pierścieniem na palcu córki, wytwornej, eleganckiej narzeczonej hrabiego.

Spełniła swój obowiązek i dopiero wraca. Nie potrzebuje zniżać się ani do próśb, ani do jakichkolwiek usprawiedliwiań.

Lorci, powinien wystarczyć zbytek, jakim ją hrabia otoczy. W sentymenta nikt się już dzisiaj nie bawi.

Nakoniec trzeba przecież myśleć o przyszłości. Ktoś musi się poświęcić, jeżeli z głodu umierać wszyscy nie zechcą... Któż w takim razie? Wandy, nikt nie weźmie. Głowa przewrócona, arystokratyczna krew, jaka w jej żyłach krąży, w zetknięciu się z fabrykantami i szwaczkami straciła swą wartość i — panna Wanda Kamieniecka jest dziś najzwyczajniejszą istotą, szwaczką, która igłą na chleb zarabia.

Lila, nie wchodząc w pobudki szlachetnej dziewczyny, czuła nienawiść prawie dla niej za to odstępstwo, przekonana, że będzie to plamą na staroszlacheckiem nazwisku, ciążącą zawsze. Śliczna przyszłość! Dobrze, że ona myślała za wszystkich, bo gdyby nie hrabia, który, za posiadanie pięknej, młodej żony musi zająć się jej rodziną... cóżby się z nimi stało? Uspokoiła się. Sumienie, które głośno już odzywać się zaczynało, gdy patrzyła na bladą twarz córki — zamilkło.

W kilka dni potem Kamienieccy, na drugiem piętrze, zajęli trzy pokoje.

— Mój Stasiu, tylko mnie nie krępuj... mówiła Lila do męża, gdy oponował przy kupnie nowych mebli. Nie robię chyba zbytków; ale dla oka ludzkiego, przynajmniej jeden salon niech będzie umeblowany jak się należy...

— Rób sobie jak chcesz moja kochana, ale pamiętaj o tem, że ja nie mam pieniędzy.

— Będziesz miał wkrótce bogatego zięcia... śmiała się Lila. Tymczasem, każ mi sprowadzić tapicera, bo nie dam sobie rady z firankami...

Stanisław, machnął ręką zniecierpliwiony.

— Powiedz Wandzi—mówi niedbale. Jestem dziś więcej osłabiony i wyperswaduj to sobie, abym bzdurstwami twojemi, głowę chorą zaprzątał.

Obraziła się.

— Bardzo grzecznie się wyrażasz — rzekła zadąsana. Nic nadzwyczajnego, nie wymagam przecież od ciebie. Inni mężowie...

— Dość tego Lili, proszę cię! — Stanisław zerwał się od stołu i porwał kapelusz. Widzę, że trudno nam będzie porozumieć się dzisiaj... Chory jestem; mówiłem ci to już sto, dwieście, tysiąc razy... Inni mężowie są zdrowi a ja jestem chory... Rozumiesz?

Wyszedł, zanim Lila zdążyła mu odpowiedzieć.

— Także fanaberye, żebym ja się meblowaniem salonu zajmował.... Strach, jak te kobiety są wymagające — mruczał do siebie.

Poszedł do Fukiera, Już po raz drugi zaglądał tam dzisiaj, rad, że może przy kieliszku wina o wszystkiem zapomnieć.

Ożywienie, przybyciem żony i córki wywołane, wprędce minęło. Wybuchy rozdrażnienia, jeszcze częściej niż przedtem, wracały.

Po wyjściu męża, rozgniewana Lila poszła wprost na górę do matki. Złość swoją na kimś przecie wywrzeć musiała.

W pierwszym zaraz pokoju, to i owo znalazła do zganienia. Tu był stolik przestawiony, kwiaty zakurzone, firanki wisiały nie tak jak potrzeba. Mówiła, niby ganiąc nieporządek służącej, a wiedziała dobrze, komu tem przykrość sprawi.

Kamieniecka siedziała przy stole z robotą w ręku i milczała. Lila, w nieobecności dzieci i męża, traktowała ją z bezwzględnem okrucieństwem. Kamieniecka, niczem sporów nie podsycała, ból i upokorzenie spychając na dno serca.

— Obiad był niemożliwy dzisiaj... mówiła Lila, z łoskotem przesuwając krzesła. Pieczeń była spalona, sos gorzki... Nie jestem przyzwyczajona do takiej kuchni... Ale ekspensuje się dużo, bardzo dużo. Mówi się wiele o oszczędności i na tem koniec. Tak bywało zawsze, niestety! A dzieci jakie rozpuszczone! Wszystko z gruntu zmienić trzeba.

Chodziła wzburzona po pokoju, wlokąc za sobą długi tren aksamitnego szlafroka z delikatnemi koronkami, który, przy nader skromnem umeblowaniu pokoju, rażąco jakoś wyglądał.

— Smutna przyszłość — rzekła podrażniona milczeniem matki. Niezgoda domowa, zacięta duma i zarozumiałość, okropne wydały owoce. Drogo, Staś i my wszyscy, opłacamy pobłażliwość jego dla pani.

Pocisk trafił nareszcie. Kamieniecka, podniosła się z fotela i złożyła robotę. Spadły jej przy pochyleniu głowy okulary i zdradziły, starannie ukrywane wzruszenie. Oczy tonęły we łzach.

I tym razem, powściągnęła się jednak i nic nie rzekła. Chciała zejść z oczów rozgniewanej, Lila zastąpiła jej drogę.

— Racz mi pani powiedzieć, gdzie się podziały klejnoty Kamienieckich? Ja, część ledwo wzięłam... Trzymać je teraz w domu, gdy brak nam gotówki, byłoby niedorzecznością. Niech mi je pani odda, proszę!

Kamieniecka, opuściła rękę na poręcz krzesła, szukając oparcia. W oczach jej się zaćmiło.

Kwestya klejnotów rodzinnych nie po raz pierwszy dzisiaj wznowioną została.

— Mówiłam już pani kilkakrotnie—rzekła o ile mogła najspokojniej, że klejnoty, jak i wiele innych pamiątek, sprzedane zostały na zaspokojenie pilnejszych długów i—na wydatki pani zagra-

nicą. Pani wie o tem aż nadto dobrze, i dlatego nagabywanie w tym przedmiocie uważam za osobistą dla siebie obrazę.

— To mnie nie wiele obchodzi—odparła lekceważąco Lila. Muszę pomówić ze Stasiem. Takie wymówki, dobre są dla dzieci.., Dowiedziawszy się o moim powrocie, pani z Wandą ukryłyście co się tylko dało... Gdzież są resztki chociażby fortuny naszej? Za wielką była, aby można było wyjść z Kamieniec jak żebracy.

Kamieniecka bardzo blada i wzburzona stanęła przed Lilą. Patrzyła na nią szeroko rozwartemi oczyma, w których paliły się iskry oburzenia i wzgardy.

— Nie wysilaj się pani — rzekła zwolna, ale bardzo dobitnie. Niczem mnie pani nie dotkniesz. Po rozmowie naszej w Krakowie, niczego już od pani nie wymagam. To jedno tylko powiedzieć muszę: ani podejrzenia twoje, ani oskarżenia, nic w postanowieniu mojem, nie zmienią. Dopóki Bóg, nie powoła mię do siebie, nie ustąpię.

Lila, ścięła wargi.

— I rządzić też pani dłużej nie będziesz—rzekła wyniośle.

Kamieniecka, blado się uśmiechnęła.

— Istotnie, czas by mi już było odpocząć — odparła.

Drżącemi rękoma zaczęła zbierać ze stołu robotę, chcąc, jak najśpieszniej, zejść z oczu synowej. Lila zatrzymała ją jeszcze u proga.

— Poszlij pani Barbarę po tapicera, bardzo proszę — rzekła rozkazująco. —Potrzebny mi do założenia firanek...

Kamienieeka obróciła się ku niej zdumiona.

— Wandzia, doskonale to potrafi—zaczęła nieśmiało.—Jestem pewną, że zadowolni panią. Czy nie lepiejby kupić Jurkowi sukienną marynarkę, która mu będzie do szkoły potrzebna—dodała ciszej.

Lila, wzruszyła ramionami.

— Mówiłam już, że tapicer jest mi potrzebny— rzekła sucho. Ale, ale! Zapomniałam! Przed wieczorem, przyniosą nowe meble z magazynu; niech że Barbara znajdzie sobie czas i wywoskuje przedtem posadzkę.

Z ust Kamienieckiej wydarł się okrzyk.

— Nowe meble? —mówi przygnębiona.—Byłabym z naszego saloniku, choćby wszystkie przenieść kazała. Myślałam nawet, że tak będzie...

Lila głośno się rozśmiała.

— Zbytek łaski!—mówi drwiąco. — Zatrzymaj pani te drogocenne sprzęty dla siebie. Pani wciąż zapomina, że narzeczonym Lorci, jest hrabia Bniński. *Noblesse oblige* łaskawa pani.

— O tem nie mogłabym zapomnieć — odparła Kamieniecka z akcentem głębokiej boleści.

— I nie każdy z Kamienieckich, wyrzecze się tak przeszłości, jak Wanda i pani—dodaje jeszcze Lila, dumnie podnosząc głowę.

— Zapewne! — Kamieniecka postąpiła ku synowej i błagalnie złożyła ręce.

— Nie kupuj pani mebli — prosi gorąco. Nie rób wydatków... My już tak nie wiele posiadamy... Wandzia pracuje nad siły... Czy nie lepiej użyć tych pieniędzy na kupno maszyny? Przy tylu osobach, zawsze się coś do uszycia znajdzie... Wandzia nocami szyć musi i oczy tracić...

— Więc kup jej pani maszynę — rzekła chłodno. — To w żadnym razie, projektu mego co do mebli, nie zmieni.

Ujęła aksamitny tren szlafroka i nie patrząc na matkę, odeszła do siebie.

Kamieniecka, z rozpaczą, schwyciła się za głowę.

— Przewidywałam, że tak będzie!—jęknęła.

I znów ta kobieta, do naszego cichego życia, wnosi niepokój, skromne fundusze obarczy wydatkami bezpotrzebnemi, obojętna na to co będzie potem! Boże, Boże! Jakiż ten Staś słaby, jaki niebaczny!.. Biedne dzieci! Wanda zapracowana, Lorcia, och, Lorcia zgubiona — zawołała wybuchając płaczem. — Szlachetne dziewczę robi z siebie ofiarę, ale sił jej braknie do jej spełnienia. Oni nic nie widzą, ale moje stare oczy patrzą bystro... Co to będzie, co to będzie?—Tak— szepce po chwili. Dziś nowa suknia, jutro meble, pojutrze inny jaki wydatek i tak dalej i dalej... Alboż nie znam Lili? — Westchnęła ciężko. — Kara Boska — szeptała. Kara Boska!

VI.

— Panna Wanda Kamieniecka?

— W trzecim pokoju na lewo, za salą ogólną łaskawa pani. Objaśniający, mężczyzna tęgi i ospowaty, zerwał się szybko i z ukłonem, wskazał pytającej drzwi...

Pytającą była Lora Kamieniecka. Powracając z miasta wstąpiła po siostrę, która, o tej porze zwykle, opuszczała fabrykę.

Wanda pracująca jak zwyczajna robotnica, biegająca co rano, do jakiejś tam fabryki kapeluszy. W głowie Lorci, nie mogło się to pomieścić.

— Zrobię Wandzi niespodziankę — myślała, przyśpieszając kroku i cała, zarumieniona jeszcze szybkim ruchem, do fabryki weszła.

„Trzeci pokój na lewo, za salą ogólną...“ usłyszała i śmiało kroczyła dalej.

W sali ogólnej jednak, zatrzymała się...

Odurzył ją ostry, dziwny zapach, który, wraz z pyłkami unoszącemi się w powietrzu, zdawał się pływać po całej sali.

Długi stół, przy nim kilkanaście wybladłych dziewcząt, stosy piór i kwiatów piętrzących się wysoko, kilku mężczyzn uwijających się w rozmaitych kierunkach uderzyło naraz wzrok Lory.

Stanęła wahająca, niepewna, czy ma pójść dalej, czy wybiedz na ulicę, gdzie przynajmniej oddychać swobodnie można.

Ospowaty mężczyzna zjawił się obok niej.

— Może ja mogę pani usłużyć — rzekł ze słodziutkim uśmiechem, obrzucając okiem znawcy elegancką toaletę i postać przybyłej. — Tu jest główny warsztat, w oddziale piór i kwiatów—dodał w rodzaju objaśnienia.—Mamy nie tylko kapelusze, ale i wszelkie do nich przybory. Damy, mogą ze wszystkiem, swoje piękne główki ubierać u nas. Wyrabiamy także wspaniałe dżety, egretki, plumaże, kwiaty na wzór paryzkich, zagraniczne rośliny do ubrania salonów, kapelusze florenckie zwyczajne, ryżowe, fantazyjne...

Lorze zaszumiało w uszach.

— Chciałabym zobaczyć się z siostrą—rzekła słabym głosem.—Nie mam zamiaru nic kupować,

— Aaa!—pełna twarz objaśniającego straciła słodki wyraz i uśmiech znikł z oblicza. — To tam dalej—mówi niedbale, wskazując ręką i odchodząc do swego biurka.

Na papierowych bezkrwistych twarzach robotnic odbiło się zainteressowanie.

Jedna drugą szturgnęła w łokieć.

— Widzisz, jaka lala wystrojona? — szepce pół głosem, chuda dziewczynina.

— Ale sama jak tyka—odpowiada druga, śmiejąc się.

Lora poszła dalej. Ani słodka jej twarzyczka, ani prawdziwie pański wygląd, nie uchroniły ją od lekceważących min i uśmiechów. Świadomość, że jest siostrą jednej z pracownic, wpłynęła niekorzystnie na pospolite umysły i—nierozwinięte serca dziewcząt. Papierowe ich twarze ożywiły się, niepoczciwy uśmiech igrał na ustach.

Nie zwracały na nią uwagi, gdy sądziły, że przyszła zrobić zamówienie na towar, który należało przedstawić jak najkorzystniej z grzecznością ujmującą klijentów i klijentki. Inna rzecz teraz. Taka śliczna, delikatna panna, tak pięknie ubrana, spacerująca po ulicach kiedy jej się podoba, więc używająca swobody i próżnowania, jest tylko siostrą ich towarzyszki, dziewczyną zwyczajną jak one, nie pracującą jednak od ósmej rano, do ósmej wieczorem.

Zabolała ich niesprawiedliwość losu.

— Wiesz ty Andzia? — mówi głośno brzydka dziewczyna, dźwigając z towarzyszką ogromne pudło z piórami, tuż za idącą przed niemi Lorką. —Wiesz? Ta panna, to z kawiarni z Podwala. Jak babcię kocham, tak prawda!

Andzią zwana zachychotała.

— Bzdurzysz, Mańka—odpiera, przydeptując niby niechcący suknię Lory.—Podawała nam flaki na Piwnej, jakem była z Wickiem i Antosią.

Lorze, krew uderzyła do głowy. Przystanęła, chciała coś rzec... dziewczęta, z głośnym wybuchem śmiechu zakręciły na prawo i zniknęły za drzwiami.

— Mój Boże, gdzież ja jestem?—szepnęła oglądając się w około. Hałas, szum, bieganina, duszne, przesiąknięte ostremi wyziewami powietrze, zjadliwe słówka i uśmiechy, wszystko to podziałało na nią odurzająco.

Drzwi po lewej stronie otworzyły się i stanęła w nich Wanda, z pełnym fartuszkiem kolorowej słomy, który w obu rękach trzymała.

— Lorciu!—krzyknęła, spostrzegłszy siostrę.— Co ty tu robisz?

Przykre zakłopotanie, odbiło się na twarzy Wandy.

Oczy Lory radością zabłysły.

— Przyszłam po ciebie — rzekła panując nad sobą.—Zdaje mi się że mogłabyś już wyjść?

Wanda, spojrzała na zegarek.

— Za pół godziny dopiero siostrzyczko—odparła.

— Więc poczekam. Odpocznę trochę...

Wanda błagalnie spojrzała na nią.

— Niepodobna Lorciu to nie miejsce dla ciebie. Głowa cię rozboli... powietrze tu ciężkie, zatęchłe...

— Nic nieszkodzi. Skoro ty możesz, cały dzień tu siedzieć, to ja mogę pół godziny... Byle tylko krzesło jakie... Z przyjemnością bym usiadła...

Wanda, nie oponując już, otworzyła przed nią drzwi pracowni. Był to duży pokój o trzech oknach, któremi nigdy nie zaglądało słońce. Wilgotne ściany wydzielały jakąś woń zatęchłą, mieszkaniom na parterze wilgotnym i bezsłonecznym, właściwą. I tu kilkanaście panien szyło i przerabiało kapelusze, pęki różnokolorowych tasiemeczek rozrzucone były w około, z których zręczne ręce pracownic, tworzyły rembranty o szerokich skrzydłach, strojne kapotki, wdzięczne pamele i skromniejsze od tamtych pasterki.

Gdy Lora weszła, kilkanaście par oczów zwróciło się ku niej z natarczywą ciekawością. Wanda przeprowadziła ją do stolika, przy którem pracowała sama. Pomiędzy kapeluszami stała szklanka wystygłej herbaty i do połowy zjedzony rogalik.

— Poczekaj tu na mnie najdroższa—szepnęła, patrząc z zakłopotaniem na siostrę. Chciała coś jeszcze dodać, surowy głos zabrzmiał tuż nad jej uchem.

— Panno Kamieniecka, teraz nie pora na rozmowy i wizyty—zawołała niemłoda panna, mierząc obie siostry wcale nie zachęcającem spojrzeniem.—Czy panna odmieniła towar. Proszę dokończyć ten kapelusz z granatowej słomki. Panna zapomniała widocznie: że na jutro zamówiony?..

Wanda, odwróciła się szybko, chcąc ukryć przed siostrą krwisty rumieniec, który twarz jej oblał.

— Przepraszam panią — odparła grzecznie. Siostra przyszła po mnie, chciałam, aby odpoczęła. Powrócę zaraz i kapelusza dokończę. Niech pani będzie spokojną.

Wybiegła, odedrzwi przesławszy Lorce tkliwe spojrzenie.

W kilka minut wróciła. Paczek kilka, położyła przed starszą panną, poczem przesunęła się zręcznie, pomiędzy robotnicami, które patrzyły na nią, ze złą radością w oczach. Rade były, że „arystokratka“ burę dostała. Dobrze jej tak. Nie chciała jechać z niemi na Saską Kępę, kiedy wyprawiły majówkę, wstydzi się iść z niemi przez ulicę, a na mężczyzn w kantorze, wcale nie patrzy... Myślał by kto, że taka skromna!

Wanda, udawała zwykle, że nic nie widzi, nic nie słyszy i z tem było jej najlepiej.

Lora bacznie przypatrywała się wszystkiemu. Żaden gest, uśmiech żaden, nie uszedł jej oka.

Znienawidziła od razu te brzydkie dziewczyny, które się trącały łokciami, popychały i udawały, że kryją śmiech, bynajmniej nie mając zamiaru go ukryć. Wanda, oddała siostrze krzesło, więc obejrzała się, czy nie znajdzie dla siebie drugiego. Było jedno niezajęte, ale dziewczęta w lot myśl jej pochwyciły, i w chwili, gdy kładła już rękę na poręczy, przysiadła na niem czternasto-

letnia może dziewczyna z lasem czerwonych loków na głowie i mnóztwem piegów na bardzo białej twarzy.

— Kto pierwszy, to do wierszy... zachychotała, patrząc bezczelnie w twarz Wandy.

— Wanda się uśmiechnęła.

— Racya!—rzekła pobłażliwie. Powróciła do Lorki, i stojąc, dokończyła granatowego kapelusza.

Punkt o ósmej oddała robotę. Zarzuciła lekki, popielaty płaszczyk i takiż kapelusz, morową popielatą wstążką przybrany, skinęła głową z uprzejmym uśmiechem, gapiącym się na nich obiedwie pannom i wyszła, torując Lorce drogę.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWOŚCI MUZYCZNE.

Dział wydawniczy przedstawia się w ostatnich czasach tak interesująco, że osobne słowo mu poświęcić nie zawadzi. Przedewszystkiem, nasi młodzi kompozytorowie nie próżnują, i wzbogacają literaturę muzyczną dziełami, z których nie jedno zyska sobie trwalszą sławę. Do prawdziwie wybitnych w tym kierunku utworów należy Sonata na fortepian i skrzypce (Op. 13), utworu Zygmunta Stojowskiego. Młody ten człowiek, Krakowianin, był długoletnim uczniem Żeleńskiego, następnie udał się do Paryża, gdzie jako uczeń ś. p. Delibes'a w kompozycyi, a Diemera w fortepianie, dobił się po ukończeniu swych studyów w konserwatoryum, poważnego uznania krytyki. Pierwsze utwory jego (Op. 1 i 2), nosiły raczej charakter drobnych studyów, bez głębszego dla przyszłości znaczenia. Ale już Trois Intermèdes (Op. 4) znamionowały duszę poetyczną i natchnioną, a przytem zwroty myśli i harmonizacyą oryginalną. Szczególniej pierwszy z nich (G dur) wyróżnia się pięknością pomysłu i obrobienia. Do interesujących utworów również zaliczamy Legendę (Op. 8); ale najważniejszym z dotychczas znanych nam jego utworów jest właśnie owa Sonata, przedstawiająca taką pełnię treści, z jaką dziś niezmiernie rzadko się spotkać można. Cały jej układ w pierwszej i drugiej części jest kontrapunktyczny, to jest, że fortepian i skrzypce prowadzą wspólnie swoje osobne rysunki melodyjne, łączące się w całość o tyle naukowo interesującą, o ile ciepłem ożywczego natchnienia ogrzaną. Część trzecią stanowią swobodne waryacye na prześliczny oryginalny temat, pełen szerokości i powagi, w których bogactwo fantazyi wielkie, a zakończenie pełne życia i siły. Jeżelibyśmy badali czynniki, z których utworzyła się ta Sonata, moglibyśmy w nich dopatrzeć najprzód ucznia Żeleńskiego, który lubi przeciwstawiać jedne idee drugim w kontrapunktycznem zahaczeniu, powtóre poetę, który dużo studyował Grieg'a i Schumanna, a następnie i oryginalnego twórcę, który może ma własną drogę przed sobą, i tę poznamy bliżej dopiero w dalszym rozwoju jego indywidualności. W każdym razie kompozytor poważny, z którym liczyć się trzeba, i pilnie śledzić za każdem nowem jego natchnieniem.

Mniej głębokim, a jednakże wysoce wyrobionym i zajmującym autorem jest według nas p. Roman Statkowski, o którym pisać już parę razy mieliśmy sposobność. I w jego utworach znać poważne studya, które ukończył ostatecznie w Konserwatoryum petersburskiem, znać formę wyrobioną i pewną, znać polot myśli szlachetny. Dotychczas z większych utworów jego znamy kwartet smyczkowy bardzo ładny, trzymany w stylu pasterskim, nie nader pretensyonalny wprawdzie, ale napisany szczerze, płynnie i ze znajomością rzeczy. Oprócz ładnych pieśni i kilku utworów fortepianowych, bardzo się wyróżnił jego krakowiak na skrzypce z fortepianem, kompozycya dobra, wdzięczna i — praktyczna, bo się podoba każdemu, i laikowi i kapłanom sztuki. Obecnie muza jego, widocznie nader do tworzenia pochopna, dała nam cały szereg utworów fortepianowych, które bardzo zasługują na uwagę. W opusie 15-ym „Chansons libres" spotykamy pięć drobniejszych fragmentów, nacechowanych poetycznym nastrojem. Jest w nich wprawdzie jakiś lekki oddźwięk muzy Schumanna i Paderewskiego, ale takich oddalonych pokrewieństw nigdy poczytywać nie można za ujmę talentowi, boć nikt się z największych mistrzów nie począł zupełnie samodzielnie, i musi być, zwłaszcza w młodości swojej, skuzynowany z temi lub owemi duchami, które przed nim natchnienia swoje światu wypowiadały, Wszak tak wyrobiony majster jak Moszkowski, do dziś dnia jeszcze nieraz zatrąca kimś innym, a jednak nikt mu nie zaprzeczy, że jest zarazem sobą, i że po stylu bardzo go dobrze poznać można. Statkowski ma wiele własnych zalet, naprzykład wykwintność formy i pewne wcale nie banalne bogactwo passażu, o którem przekonać się można, przegrywając jego sześć numerów, stanowiących opus 16: Nr 1 Capriccio, Nr 3 Valse, Nr 6 „Auprès de la Fontaine", iskrzą się dowcipem i elegancyą, lubo nie można zaprzeczyć, że wadą dwóch pierwszych zwłaszcza utworów, jest zbyt częste powracanie do początku, i powtarzanie pewnego „refrain" (wrotki). Właściwość ta naprowadza na myśl, jak pięknie by mógł się autor wywiązać z formy waryacyi, lecz właśnie w tym rodzaju nic obszerniejszego nie znamy. Najlepszym dla nas numerem w tym cyklu jest Nr 4-ty; „All antico", napisany nader *praktycznie*, lubo sądzimy, że i Nr 1 i 3 na estradzie, przy doskonałem technicznem wykończeniu, nader korzystne sprawiłyby wrażenie.

I jeszcze jeden, również świeży cykl tegoż autora mamy do zanotowania. Są to cztery Idylle, Op. 18. Z tych Nr 2, a zwłaszcza 4-ty odznaczają się pięknością tematów i nader sympatycznem ich przeprowadzeniem. Są to rodzajowe obrazki, ogrzane ciepłem szlachetnego liryzmu.

Trzecim z młodych kompozytorów jest skrzypek, p. Emil Młynarski, autor paru udatnych kompozycyi skrzypcowych (Mazurki, Humoreska) i wokalnych; jakkolwiek jego ostatni fortepianowy opus 5 nie dorównywa poprzednim, jednakże talent jest wyraźny, forma dobra i werwy niemało. Pan Mł. jest również uczniem Konserwatoryum Petersburskiego, a obecnie zajmuje stanowisko profesora gry skrzypcowej w szkole muzycznej odeskiej.

Nie mamy w tej chwili zamiaru zapuszczania się zbyt głęboko w stosy nowości zagranicznych, przeważnie zresztą banalnych i nie zasługujących na obszerniejszą wzmiankę; nie możemy jednak pominąć dwóch prześlicznych kompozycyi Benjamina Godard'a, pod tytułami: 2-me Romance sansparoles Op. 120, oraz „Matinée du printemps" Op. 123. Ładnem jest Scherzo (dur Feliksa Dreyschock'a; bardzo dobrą i praktyczną Bretońska Giga Bachman'a (F dur) pomieszczona w zbiorze wydawnictw Arct'a dobranych przez prof. Różyckiego. Utwór ten średniej trudności i dość stylowy, z pewnością większy pożytek nauczycielom przyniesie od szeregu mniej wdzięcznych kompozycyi Dreyschock'a, znajdujących się w tym zbiorze.

Jan Kleczyński.

Z RZYMU.

Zadrżała nam tu ziemia pod nogami. Właśnie wziąłem pióro do ręki aby pisać do was, gdy nagle przeszedł mnie jakiś dreszcz, trudny do określenia, papiery leżące na stole poruszyły się jakgdyby pod powiewem wiatru, szyby zabrzęczały w oknach a był to poranek pogodny, wesoły i w pierwszej chwili nie przyszło mi na myśl, że to trzęsienie ziemi, przecież gwar, niezwykły ruch na ulicach kazał się domyślać, iż dzieje się cóś niezwykłego. Na szczęście skończyło się tylko na trwodze, nie tak jak działo się po obu stronach cieśniny Messyńskiej i na wyspach Liparyjskich. W Mesynie pierwsze zadrżenie ziemi dało się uczuć nad wieczorem, koło godziny siódmej i był to, jak donoszą dzienniki, jakgdyby dzień sądny; krzyk, płacz, rozległ się naraz w mieście całem, ludzie tłumami wybiegali z domów jak kto stał, potrącając się, przepychając jedni przez drugich i dążąc na place otwarte, gdy na odwrót inni śpieszyli do domów, aby uprowadzić z nich dzieci, kobiety. Tymczasem szyby pękały w oknach z brzękiem, kominy waliły się z dachów na ziemię, a ludzie unosili co kto miał najdroższego i za każdem ponowieniem się wstrząśnienia odgrywały się dramata nie do opisania.

Jęk, płacz, krzyki rozpaczne rannych rozlegały się w powietrzu i działo się tak niemal godzinę całą, a gdy nakoniec uspokoiło się to nieco, tłum wystraszony zaczął sobie przygotowywać leże na placach. Znoszono pościel, sprzęty rozmaite, gdy nagle około godziny dziewiątej znów grunt zadrżał ludziom pod nogami, ale najtragiczniejszą była chwila o północy i teraz nikt już nie ratował nic, prócz drogich mu osób, a nieraz szalona trwoga kazała niejednemu zapomnieć o tem, że serce jego kogoś kocha i jest do kogoś przywiązane

Wśród tego zamieszania, wśród walki o życie i mienie posiadane, odbijał się wspaniale widok, którego efekt nie da się opisać. Księża rozwarli podwoje kościołów i zaczęli z nich wynosić relikwie, cymboryum; na ulicach wznoszono ołtarze i odprawiano przy nich modły, a zakonnicy reguły Ś-go Franciszka z przeorem, który postępował na czele z krzyżem w ręku, rozpoczęli procesyą po mieście, z którą łączył się lud, śpiewając wzruszonym, przenikającym głosem pieśń, wzywającą miłosierdzia bożego. Z drugiej strony władza świecka kazała orkiestrom wojskowem wystąpić na plac przed ratuszem i grać pełen męzkiej dzielności hymn Garibaldiego, ale nie robiło to wrażenia w obec tych modłów, tych głosów wzruszonych, wołających o pomoc bożą. Trwało to tak do świtu, który przecież ukazał dopiero ludziom przy blaskach swoich obraz przerażającego zniszczenia, sprowadzonego ostatecznie przez wstrząśnienie o samej północy z dziwnie przenikającym efektem, bo gdy zegary na gmachach miejskich, na wieżach kościelnych zaczęły bić godzinę dwunastą, grunt pod nogami ludzkiemi zadrżał jak na komendę i tak, że popadali na ziemię najsilniejsi mężczyzni.

Królowa Małgorzata, której dobroć serca równa się rozumowi, zaraz po otrzymaniu wiadomości o strasznych tych wypadkach wysłała do Mesyny przybocznego swego szambelana z misyą rozpatrzenia skutków okrutnej tej klęski i zarazem rozdzielenia pomiędzy ubogą ludnością miejską potrzebnej im zapomogi, gdyż ruch pracy zatamował się na czas jakiś z powodu uszkodzeń gmachów fabrycznych. Tkliwa dobroć serca tej pani staje się zarazem rozumem stanu, bo potrzeba tu wpływów łagodzących serca zdziczałe przez zaniedbanie, w jakiem przeszłość zostawiała lud rzymski. Bolesną stanu tego ilustracyą jest krwawa tragedya, która wzruszyła tu wszystkich i wywarła wrażenie, zdolne oddziałać zbawiennie na te żywioły zdziczałe przez fałszywe pojęcie praw, jakie powinny być udziałem człowieka.

Młoda, bo dwadzieścia sześć lat licząca siostra miłosierdzia, Liwia Pierantoni wedle świata, a siostra Marya Augustyna wedle zakonu, służyła bliźnim w szpitalu S-go Ducha z niewyczerpaną nigdy dobrocią, pielęgnując chorych w oddziale suchotników, a dodać trzeba, że pochodziła z rodziny dostojnej i zamożnej, zatem poświęcona ta jej służba była jedynie wynikiem szlachetnej miłości bliźniego, szlachetnych, podniosłych uczuć i dążeń. Posiadała przytem urodę niezwykłą a łagodność jej, jej dobroć nigdy nie wyczerpana, jednała jej wszystkie serca, co właśnie podrażniło pewnego szaleńca i postanowił ją zabić—zabić zarazem kilka innych osobistości, nazywanych

przezeń hipokrytami, obałamucającemi lud fałszywą swą cnotą. Gdy jego dzikie przemowy do współtowarzyszy pracy, a był zecerem, sprawiły, iż go miano wydalić z drukarni w której pracował, przeszył pod uniesieniem zemsty pierś świętobliwej dziewicy, przeszył ją kilkakrotnie z dzikością okrutną i zostawiając sztylet w ranie uszedł, tryumfując, że się pomścił na hypokrytach, a dodać trzeba, że kiedyś gdy był chorym i leżał w szpitalu, siostra Marya otaczała go troskliwością najtkliwszą, chcąc ułagodzić jego dziką naturę. Przecież nazajutrz ktoś z ludzi prywatnych schwytał go i oddał w ręce władzy, a fakt tego zdziczenia szaleńców, rzucających się ślepo na rzeczy i ludzi czczonych przez ogół, wywarł takie wrażenie na ludność rzymską, że za trumną zamordowanej postępowały nietylko wszystkie bractwa i stowarzyszenia religijne, ale znalazły się tu zarazem władze urzędowe, senat, rada municypalna, oraz prefekt Rzymu, margrabia Guicioli, co zdarzyło się raz pierwszy od lat dwudziestu, to jest od zajęcia Rzymu przez wojska włoskie, a wszystkie czasopisma literackie podniosły cnoty zamordowanej i znaczenie jej działalności, a poeci uczcili jej pamięć odami, sonetami pełnemi uwielbienia.

Literackie stowarzyszenie Arkadya odbyło w tym czasie zebranie, będące aktem czci dla niedawno tu zmarłego Jana Chrzciciela de Rosi, uczonego archeologa, który poświęcił niemal życie całe badaniom katakumb, to jest podziemnego Rzymu, bo miasto niemal całe rozciąga się na tem polu zmarłych, cmentarzu przeszłości, gdyż w miarę rozszenia się grodu Romulusa budowano się obojętnie na grobach. Oprócz duchownych wszyscy zebrani byli w kostyumach pasterzy i pasterek, jak to już jest zwyczajem odwiecznym tego towarzystwa; deklamowano poezyę a między innemi Danta, wykonywano dzieła muzyczne odpowiedniego stylu a popiersie zmarłego, dłuta jednego z najznakomitszych tu rzeźbiarzy, Tabacchi, ustawiono w altanie, rzęsisto oświetlonej, pełnej kwiatów i krzewów, z wieńcem lauru na głowie.

Uczczono też niemal jednocześnie pomnikiem pamięć poety, najznakomitszego między nowożytnemi, Antonio Ghislanzoni, wzniesionym w mieście jego rodzinnem, Caprino Bergamasco, do czego przyczynił się przeważnie Verdi, który pisząc wspomnienie o nieboszczyku przyznał, że zawdzięcza mu w znacznej części rozwój twórczości swojej przez poetyczne temata, które mu nasuwał i potem szlachetnie w libretto swojem rozwijał, jak to szczególniej miało miejsce w libretto „Aidy.“ Niepospolitą jest duszą człowieka, który oddaje tak sprawiedliwość ludziom kosztem miłości własnej, Verdi zamierza obecnie spełnić czyn zacny wdzięczności i względem tych, którzy pomogli mu stanąć na tej wyżynie sławy, jaką pozyskał. Majątek jego był w całości zarobkiem dzieł jego, więc zapragnął oddać go tym, którzy mu pomogli do zebrania tego grosza, wykonawcom jego utworów: śpiewakom, śpiewaczkom, członkom orkiestr, a to przez wzniesienie gmachu, w którym znaleźli by cichc schronienie w wieku nie pozwalającym już na pracę. Będzie to budynek w szlachetnym stylu, pałac, mieszczący się wśród otoczenia zieloności i kwiatów, ogrodu, którego plan nakreślonym już jest podobnie jak i pałacu artystycznie pięknego we wszystkich szczegółach swoich. Wielka sala jadalna mieć będzie ściany pokryte freskami, przedstawiającemi sceny z jego oper a potretowani tu będą wszyscy śpiewacy i śpiewaczki, którzy je wykonywali szlachetnie. Mieścić się tu będzie i biblioteka bardzo starannie dobrana, wielka sala muzyczna i teatrzyk nieduży, na którym by grywali sobie niekiedy, rozweselając starość swoją wspomnieniami ubiegłej przeszłości, oprócz tego otrzymywać będą pewną pensyą, tygodniowo im udzielaną, aby mieli coś grosza na drobne wydatki swoje, na tytoń na przykład.

Verdi jest bezdzietnym, krewni jego nie są ubodzy a przytem uważa to sobie poczciwie za obowiązek, aby pamiętał o tych, którzy mu żyć pomagali, którzy ułatwiali mu życia tego pracę i pałac też będzie nietylko budynkiem bardzo piękuym, ale możliwie najwygodniejszym. Otacza też zacnego człowieka szacunek taki, że twórca „Rycerskości wieśniaczej,“ Mascagni, przybywając z Livorno do Medyolanu staje zawsze w hotelu „Milan,“ gdzie też mistrz zwykle zamieszkuje. skoro tu przyjeżdża, ale zrazu nie chciał stanąć w tym samym co on apartamencie, uważając to sobie za zuchwałość i dowodząc właścicielowi, że pokoje, które on zajmuje powinny być jakoby uświęcone. Mascagni staje się też obecnie jakoby następcą jego w królestwie muzyki, ale osobistość jego inna już jest, mniej poważna; elegant stroi się wytwornie, a upodobania tego rodzaju rzadko się łączą z talentem wyższego znaczenia i ktoś obliczył, że w komodzie jego mieści się trzysta krawatów, dzieła fabrykantów wszelkich stolic, poczynając od Paryża.

Do wydarzeń ubiegłego miesiąca zaliczyć trzeba przybycie tu Zoli. Wielbiciele dzieł jego pragnęli przyjąć go bardzo uroczyście, ale opinia publiczna wyraziła się przeciw temu przez dzienniki tak surowo, że zamiar upadł i skończyło się tylko na obiedzie prywatnym, w kółku nielicznem zwolenników jego poglądów na życie. Zuchwałość jego jest przecież taką, że prosił przez ambasadora francuzkiego o posłuchanie u Ojca Świętego, który przecież nietylko odmówił mu tego, ale zakazał, aby znaleźć się śmiał na audyencyi zbiorowej, co przecież nie zmieniło jego zamiaru przebywania w Wiecznem Mieście czas dłuższy. Chodzą tu uawet pogłoski, iż zamierza osiedlić się tu na czas dłuższy, rok lub półtora, a to z powodu, iż postanowił napisać powieść na tle wewnętrznych stosunków życia tej stolicy katolickiego kościoła. Wedle tego co mówią znajomi jego, występować tu będą te same osoby, które przedstawił w „Lourdes“ i tylko na tem tle pragnie odmalować kobietę włoską, Rzymiankę zwłaszcza.

A głosi on tu, że pochodzi z rodziny włoskiej, że ojciec jego był rodem z Wenecyi i tylko matka francuzka, która nie nauczyła się nigdy po włosku, wychowywała go na Francuza, a że stracił ojca w siódmym roku, więc z konieczności stać się musiał Francuzem, bo matka uwiozła go do Francyi. Rozpisały się tu o tem dzienniki pewnego odcienia, przecież ogół włoski bynajmniej nie pragnie chlubić się z tego zaszczytu, jak również i Francuzi z szlachetniejszym natchnieniem w piersiach; ambasador francuzki, który z konieczności swego urzędu musiał przedstawić Papieżowi prośbę Zoli o audyencyą, wyznał szczerze, że nie jest bynajmniej wielbicielem jego talentu i nietylko dzieł jego nie czyta, ale nie pozwala, aby nikt z jego rodziny je czytał. Tłomaczył się też Papieżowi, że prośbę o audyencyę Zoli wnieść musiał jedynie z obowiązków swego urzędu.

Wiec Dantejskiego Towarzystwa odbył się jak corocznie w Barze, prezesem został ponownie uczony badacz starożytnej Włoch literatury, Rogier Bonghie; stowarzyszeni uradzili na tem zebraniu wzniesienie w Rzymie posągu zmarłemu przed laty kilku dramaturgowi; Piotrowi Cossa, autorowi znakomitej tragedyi historycznej „Neron.“ Złożono już na ten cel 16.000 lirów, na koszta odlania wspomnianego posągu, powierzając wykonanie rzeźbiarzowi Sanguinetti, przecież kosztorys wykazał brak jeszcze 3.000 lirów, co Rada miejska Rzymu wzięła na siebie, a można powiedzieć, że wywiązuje się ona godnie z zadania swego, bo przyczyniła się znaczną summą do uczczenia historycznej chwili w nowożytnych dziejach Włoch, czem jest ołtarz kamienny, wzniesiony na polu bitwy pod Mentoną. W dniach pierwszych ubiegłego miesiąca odbyła się tam wspaniała uroczystość, ołtarz obwieszono nieprzeliczoną ilością wieńców wawrzynowych a dodać trzeba, że bardzo znaczna ich ilość była zawieszona rękami kobiet.

August.

Moje hyacynty.

Ogrodnik, sprzedając mi cebulki, nie nadawał im żadnej szumnej nazwy, ani też nie opowiadał cudów o ich niezawodnej piękności.

— Są to—mówił,—cebulki trzeciorzędne. Nie mogę zaręczyć, ale często zdarzają się i pomiędzy niemi wyjątkowo pięknie kwitnące.

— Właśnie o takie proszę — odrzekłam, w duchu dodając, że tak samo dzieje się i z ludźmi, zajmującymi w życiu niższego rzędu stanowisko. Ileż pomiędzy nimi jest silnych, dzielnych charakterów, które często nagłym rozkwitem świat zadziwiają. Ileż znów choćby też zdrowych i mogących osiągnąć wyższe cele przepada, z powodu braku odpowiednich warunków, tak jak i trzeciorzędne cebulki, które wielkiej pieczołowitości nie są warte.

Prawa natury tak są tajemnicze i dotąd tak mało jeszcze zbadane, śmiało też rzec można, iż do końca świata ludzkość nie zdoła ich poznać i ocenić. Jedni śledzą niezbadane prawa w nauce ciał niebieskich, drudzy, z mikroskopem w ręku, poświęcają życie całe badaniu, niedostrzeżonych gołem okiem tworów, inni znów zajmują się elektrycznością, magnetyzmem, jeszcze inni usiłują otworzyć sobie wnętrze ziemi, aby wydobyć ztamtąd pewne dane o prawach natury. Ja. posiadając bardzo skromniutką wiedzę, ograniczyłam badania moje do obserwacyi nad sześcioma cebulkami hyacyntów.

Już sam ich wygląd zewnętrzny jakąż bogatą przedstawiał rozmaitość! Jedna z nich miała zupełnie białą powłoczkę, druga blado-różową, trzecia niebieskawą, czwarta znów ciemno-czerwoną. Każda była inną. Można było spodziewać się kwiatów barw rozmaitych.

Podczas swego formowania się i rozrostu, cebulki prawdopodobnie wchłonęły w siebie wszystko, co do późniejszego tworzenia się liści i kwiatów jest potrzebne, każda więc była zbiornikiem materyi koniecznych do wydania kwitnącej roślinki. Każda jednak zawierała tajemnicę: w jakim stosunku zawarte w niej materye, będą się rozwijały, skoro taki a nie inny kwiat z nich powstanie.

Bywają hyacynty o drobniutkich, wątłych kwiatuszkach, bywają o silnych, bujnych, lub też, tak zwane dubeltowe, pełne, omal zbyt bogate i ciężkie. Jedne, zakończone ostro, drugie okrągło, te na grubych, tamte na cienkich, wiotkich łodygach, nie mówiąc już o rozmaitości barw i odcieni, a nawet różnicy w zapachu.

Nie potrzeba na to ani długiej, ani uważnej obserwacyi, żeby spostrzedz, iż w rodzinie hyacyntów panuje różnolitość wielka i chyba jedynie bardzo powierzchownie patrzący może twierdzić, że hyacynty wszystkie są do siebie podobne. Co prawda, dowodzić można tego samego i o ludziach. Ktoś podzieliwszy ich na złych i dobrych, jest mniemania, że dosyć byłoby dostarczyć wszystkim jednakich warunków wychowania. aby z tego wypadł przeciętnie jeden do drugiego podobny człowiek.

Hyacynty moje dowodzą inaczej. Ten sam ogrodnik hodował wszystkie cebulki, które rozrastały się w jednej i tejże samej ziemi, otrzymując wspólne pożywienie, to jest jednaką ilość słońca, ciepła i wilgoci. Osadziłam je w szklannych, zamiast doniczek często dziś używanych naczyńkach i napełniłam te jedną i tąż samą wiślaną wodą. Ustawiłam je w ciemnem, niezbyt gorącem miejscu i trzymałam tam dopóty, aż białe korzonki i blado-zielone listki wyrastać poczęły. Wtedy to, według wskazówek doświadczonego ogrodnika, ustawiłam je na oknie i poddałam silnemu działaniu słońca.

Należało tedy sądzić, że wszystkie cebulki w jednakowym czasie i w równej sile wypuszczać będą korzonki i liście, tymczasem przy początkowym już rozwoju, okazało się, że każda z nich szła, że tak rzeknę, swoją drogą, jakby każda hodowaną była w odrębnych warunkach.

Jedna wydzieliła zdrowe, mocne, aczkolwiek w niewielkiej obfitości korzonki, druga zaś, obfite i silne. Wnioskowałam z tego, że pierwsza będzie miała potężną łodygę o wątłym kwiecie, druga wyda kwiat bogaty na takiejże podstawie. Czy wnioski moje były trafnemi okazało się dopiero później.

Z coraz silniej wzrastającem zajęciem śledziłam rozwój moich cebulek, wszakże ze wszystkiem jest tak na ziemi. I rozwój człowieka coraz żywsze

wzbudza zajęcie, w miarę jak postępujemy za urabianiem się jego charakteru i zdolności, i widzimy o ile pokładane w nim nadzieje sprawdzają się.

Trzecia cebulka zwolna zapełniła prawie całe naczynie cienkiemi jak nitki korzonkami. Podejrzewałam, że kwiat jej będzie drobny jak konwalia. Czwarta połączyła korzonki cienkie z grubemi. Piąta podobną była do czwartej, tylko, że liczba korzonków cienkich przeważała nad liczbą grubych.

O tych dwóch ostatnich cebulkach nie wiedziałam co myśleć. Szósta nie ruszała się. — Woda nie zachęcała jej bynajmniej do wydzielania korzonków. Może charakter jej istoty ciągnął ją do ziemi i w doniczce byłaby może zakwitła wesoło. Przyszło mi to na myśl, kiedy już było za późno i nie mogłam patrzeć na biedną cebulkę, bez wyrzutów sumienia.

Mówiłam sobie, żem ją skazała na warunki zgoła nie odpowiadające jej naturze.

Chciałam zmusić daremnie cebulkę łaknącą ziemi, do życia na wodzie.

I myślałam, że całe zastępy ludzi giną marnie, z powodu, że warunki w jakich się wychowują i żyją, sprzeciwiają się ich zdolnościom, usposobieniu, pojęciom, charakterowi, słowem, duchowej ich istocie. Nie jeden, z którego byłby dzielny, pracowity wieśniak lub rzemieślnik, bywa do książkowej pracy zaprzęgany przemocą, dziecko o wybitnych językowych zdolnościach ślęczy nad rachunkami i przeciwnie;—niemuzykalną ani trochę dziewczynkę zamęczają grą na fortepianie. A ileż to spragnionych miłości serc ludzkich, które pod wpływem tejże zakwitłyby rozkosznie, nie znalazłszy odpowiedniego gruntu, by posiać na nim bogactwo uczuć swoich, zamiera przedwcześnie!

Czy hyacyut czuł tak, jak ja sobie wyobrażałam? Niewiem. Jedno wszakże było dla mnie rzeczą jasną: nie chciał wody, pragnął ziemi.

Przyszedł wreszcie rozrost liści i ukazały się pączki.

Cebulka szósta pozostawała wciąż bez zmiany. — Pewnego wieczoru stało się nieszczęście. Było to podczas silnego mrozu i widocznie, z powodu niezupełnie dobrze domkniętego okna, lód ukazał się w naczyńkach mieszczących moje cebulki. Ratowałam je jak mogłam. Stopniowo ogrzewałam szklaneczki i zrazu zdawało mi się, że cebulki nic nie ucierpiały. Dopiero po dwóch tygodniach okazało się, że cebulka, którą nazywałam numerem 5-ym, poczęła chorować. U innych, (z wyjątkiem numeru 6-go,) korzonki rozrastały się i woda pozostała czystą. U piątej zaś rozrost korzonków i liści wstrzymał się, a woda była mętną i wydzielała woń nieprzyjemną. Kropelka tej wody, badana przez mikroskop, przedstawiała przerażającą ilość pływających i skaczących, przeróżnego kształtu żyjątków, które naturalnie żyły kosztem mojej cebulki.

W innych szklaneczkach nie brakło też zjadliwych mikrobów, te atoli nie mogły zdrowym korzonkom szkodzić. Siły żywotne, to jest odporność tych ostatnich, były potężniejsze, niżli żarłoczność bakteryi. Zdrowe korzonki ściśle zamykały swoje komóreczki, przed napaścią nienasyconego drobiazgu. Tam tylko, gdzie coś obumiera, rozkłada się, gdzie życie słabnąć poczyna, tam jest pole do rozwoju tych mikroorganizmów, tam się one tuczą i mnożą.

Moja biedna piąta cebulka już w powolniejszym rozroście swoich cienkich korzonków zdradzała wątłość organizmu.

Cztery silniejsze zniosły mróz szczęśliwie, ona, przeziębiwszy się, nabawiła się choroby.

Od czegóż jednak postęp i nauka? czyż nie żyjemy w wieku antyseptyki i wszechwładnego panowania karbolu i jego sprzymierzeńców? Zniszczyć bakterye jest rzeczą łatwą, trudność leży jedynie w tem, żeby dobrać właściwą truciznę, by razem z usuwanemi żyjątkami nie ucierpiał też organizm, który ma być od nich oswobodzony. Karbol byłby niewątpliwie zabił roślinkę, tak samo jak i sublimat. Kwas salicylowy również byłby środkiem zbyt drażniącym. Pozostawało więc uciec się do tak niewinnej trucizny, jaką jest chinina. Wszakże ona zabija chorobotwórcze mikroby febry, a nie może być zbyt ostrym środkiem, jeżeli rozpowszechnioną jest wszędzie z taką swobodą.

W ten sposób wytłómaczywszy sobie, że wobec chininy hyacynt mój nie będzie narażony na niebezpieczeństwo zatrucia, zabrałam się do leczenia zagrożonej cebulki. Obmyłam korzonki starannie, wyczyściłam doskonale szklaneczkę, napełniłam ją świeżą wodą, wsypałam szczyptę chininy i napowrót osadziłam cebulkę.

Skutek był taki, jakiegom się spodziewała. Woda pozostała przezroczystą, korzonki czystemi. Widocznie bakterye przestały się rozmnażać. Cóż z tego jednak, że woda i korzonki zachowały tak zdrowotne pozory? Po bliższem przyjrzeniu się, dostrzegłam, że hyacynt jest śmiertelnie, nieuleczalnie dotkniętym albowiem choroba, czy może trucizna przeniknęła do najżywotniejszych jego organów i poczęła już toczyć zawiązki pączków.

Cztery zdrowe cebulki rozwijały się dalej, a cebulka leczona chininą i ta, która na wodzie żyć nie chciała, obie wyglądały przy tamtych jak dwoje kalek, przeznaczone na śmierć przedwczesną. Zdrowe poczęły zakwitać. Pierwsza, owa o niewielu, ale mocnych korzeniach dźwigała na tęgiej łodydze duże, pełne, choć w liczbę niezbyt obfite kwiaty. Pączki drugiej pozostały jeszcze zamknięte i zielone. Hyacynt, wyrosły z cebulki Nr 3, zaledwie zasługiwał na miano trzeciorzędnego. Natomiast numer 4 zdobył się, aż na dwa pędy, które zadziwiająco różniły się — wielkością.

Pomiędzy ludźmi często spotykamy rodzeństwa o zupełnie różnem usposobieniu i naturze, fizycznie i umysłowo nierównomiernie rozwinięte. Są to wypadki znane od początku świata. Że jednak z jednej cebulki wyrosły dwie, tak do siebie niepodobne wielkością i bogactwem kwiaty, dowodziło jasno, że prawa natury we wszystkiem pozostaną niezbadane i, że nadzwyczaj trudno jest walczyć z niemi.

Musimy więc nazwać jeden hyacynt bogato, drugi zaś ubogo przez naturę obdarowany, co jest drobnym przykładem, iż od wieków uosabiamy świat zewnętrzny, nadając mu i przypisując własne uczucia i pojęcia.

Dziecko ożywia swoje zabawki, lud nieraz martwe przedmioty; w ten sposób powstają baśnie, myty i legendy,—szalony wicher i burza wywołują w wyobraźni ludzkiej pojęcie jakiejś walki olbrzymów,—piorun staje się Perkunem gwałtownym.

Dopóki świat istnieć będzie, nie zatraci chyba człowiek tej potęgi, by w naturze odszukiwał echa i zwierciadła dla własnych uczuć swoich.

Hyacynty kwitną i roztaczają woń odurzającą, Co one przez to wyrażają, pozostałoby ich tajemnicą, gdyby badacz nie był uchylił z niej zasłony.

Kwitną i pachną dla swej przyszłości, dlatego, żeby utrzymać istnienie swojego gatunku. Im doskonalej, pełniej kwiat się rozwija, tem trwalsze w nim nasienie. Dumny wysuwa się z pomiędzy innych, jak człowiek, który osobistemi zasługami drugich zaćmiewa.

Powoli, jakby z ostrożnością wielką, rozchylały się pączki numeru 2-go. Jeszcze dzień jeden i drugi i wspaniały okaz, prawdziwy ideał świata hyacyntów stał przed memi oczyma.

Cebulka leczona chininą cierpiała coraz bardziej. Wprawdzie niektóre, z pomiędzy lichych pączków, zabarwiły się czerwono, prędko jednak przyżółkły i zwiędły,—łodyga zaś pozostała krótką i niezdarną. Nie było ratunku, zbyt wątły organizm nie mógł ostać się niszczącej go chorobie, musiał ginąć.

Numer 6, wystawiony na tak silne i długie działanie słońca, jął czynić wreszcie rozpaczliwe usiłowania, żeby zwalczyć narzucone mu, niezgodne z jego naturą warunki. Aczkolwiek późno, znać przecie, iż pragnienie życia budziło się w nim teraz z całą siłą. Atoli wszystkie te wysiłki bardzo słaby osiągnęły rezultat. Korzonki ograniczyły się do paru drobnych pęczków białawych niteczek, które ukazały się u spodu pomarszczonej cebulki, a kwiat, który ujrzał nareszcie upragnione światło, składał się z kilku niezmiernie małych, źle rozwiniętych dzwoneczków, przyczepionych do jeszcze krótszej niż u numeru 5-go, zgarbionej łodygami. Istny obraz przedwcześnie zestarzałego człowieka, obraz—przeciwnościami złamanego życia.

Oto historya moich sześciu cebulek hyacyntowych,—dzieje kwiatów tylko, dla mnie jednak stanowią one sześć kart, wydartych z wielkiej księgi, która naturą się zowie, a w której i człowiek, ten „pan stworzenia“ ma dla siebie wypisane prawa.

Z. S.

Kronika działalności kobiecej.

— Piszą z Petersburga, iż w celu podniesienia przemysłu ważnej gałęzi gospodarstwa kobiety w Rosyi, a to wyrobu masła i serów, ministeryum rolnictwa zamierzyło sprowadzić z Danii dziesięciu specyalistów, którzyby nauczali racyonalnego sposobu obchodzenia się z nabiałem i jego przetworami. Rzecz rozpocznie się w Jarosławiu, gdzie najpierw wygłoszone będą odczyty w tym przedmiocie, a następnie wzmiankowani specyaliści objeżdżać będą te mianowicie okolice, gdzie produkcya mleka może być największą, nauczając jak należy postępować, a to poczynając od zaprowadzenia dobrego gatunku krów i odpowiedniego ich chowu.

— W skutek podań nadchodzących do ministeryum skarbu o pozwolenie na nocną pracę kobiet i dzieci w fabrykach, inspekcye fabryczne otrzymały polecenie, aby zezwolono na tę pracę w takim jedynie razie, gdy kobiety pracować będą jednocześnie i w jednej sali z rodzicami lub mężami, a dzieci z matkami, lub ojcami.

— P. Ewa Kiedrzyńska zwróciła się do redakcyi naszego pisma z żądaniem, aby kobiety postarały się o wzniesienie takiej szkoły gospodarstwa kobiecego, jaka ma być otwartą dla mężczyzn na folwarku Brzozowa, należącym do klucza Sobieszyn, gdzieby kształcić się mogły na dobre gospodynie, wyręczające panią domu, lub jej pomagające. Istnieje już wprawdzie szkoła taka hr. Platerówny w Chiliczkach, niemniej żądanie p. Kiedrzyńskiej ma racyę za sobą, bo za mało jest jednego takiego zakładu, a dobrze, racyonalnie prowadzone gospodarstwo kobiety oddziaływa w części bardzo znacznej na dobrobyt rodzin, na ich zamożność. Hr. Platerówna utrzymując obok tego w Warszawie szkołę rzemiosł dla kobiet, wniosła do magistratu podanie o przyjęcie jej do grona majstrów cechu krawieckiego, aby mogła zapisywać uczennice swoje do cechu i wyzwalać je na podmajstrzynie cechowe.

— P. Józefa Kamocka otrzymała na wystawie w Antwerpii medal srebrny i 500 franków nagrody za rysunek, przedstawiający projekt przybrania kwiatami stołu jadalnego. Obecnie znaczna liczba kobiet naszych nauczyła się za pośrednictwem Tow. Ogrodniczego kunsztu dekoracyi kwiatowej.

— P. Mikorska otrzymała na wystawie w Antwerpii medal złoty za wydawnictwo muzyczne dzieł swoich.

— Na wystawę Tow. Sztuk Pięknych nadesłała p. Emilia Dukszyńska „Portret damy,“ p. Gażyczowa trzy płótna przedstawiające „Martwą naturę.“

— Na doroczniej wystawie szkiców, oraz przedmiotów z działu sztuki stosowanej w Salonie artystycznym na Nowym-Świecie, mieści się szereg długi prac pendzla niewieściego pań: Blochowej, Babińskiej, Chwastowej, Gażyczowej, Kotarbińskiej, Konickiej, Konarzewskiej, Kanigowskiej, Onżyczowej, Osuchowskiej, Poświkowej, Poświkówny, Paschalisowny, baronowy Rejskiej, Stan-

kiewiczówny, Stromfeldówny, Sokołowskiej, Spleszyńskiej, Tyszkówny, Żochowskiej.

— P. Phanhauser, malarka, która czas długi przebywała w Paryżu, wystawiła w Salonie artystycznym kilka bardzo pięknie wykonanych kopii z orginałów, mieszczących się w Luwrze i pałacu Luksemburskim. W Zbiorze p. Phanhauser zasługują na szczególną uwagę kopie: „Ś-ta Katarzyna“ Corregio, „Narodzenie Najświętszej Panny,“ Murillo, „Zaślubiny Wiejskie“ Greuza, „Pokłosie“ Milleta i wiele innych, odtwarzających oryginały mistrzów pendzla.

W przytułku fundacyi hr. Zamoyskiej, zostającym pod opieką Tow. Dobroczynności, mieści się sierot dziesięć, w przytułku fundacyi p. Heleny Zbranickiej za rogatką mokotowską także dziesięć. Tow. Dobroczynności udzieliło jako wsparcie doroczne z zapisu ś. p. Tekli Rapackiej, dwom biednym nauczycielkom po 8 rs.

— Krakowskie Towarzystwo nauczycielek, urządziło seryę odczytów dla dzieci. Odczyty te odbywać się będą w wielkiej auli gmachu uniwersyteckiego.

— Wiedeńskie stowarzyszenie kobiet z celem rozszerzania oświaty wykazało na dorocznem swem zebraniu pomyślny rozwój zabiegów swoich. Otwarto z początkiem roku szkolnego trzecią klassę gimnazyum żeńskiego, założonego staraniem Towarzystwa; sprawozdanie z postępu działalności kobiet lekarek urzędowych wykazało, iż w Bośni p.p. Marya Keck praktykująca w mieście Moster i D-r Teodora Krajewska praktykująca w Dolnej Tuzli, miały w roku przeszłym 533 pacyentów płci obojej.

— Londyńskie Tow. Lekarskie przypuściło do grona swego jeszcze w 1892 r. kobiety, których pożyteczna działalność została obecnie stwierdzona na ostatniem posiedzeniu Towarzystwa. Szczególniej w Indyach gdzie brakuje lekarzy mężczyzn oraz w Kanadzie, oddały one również wielkiego znaczenia zasługi, równie jak w Irlandyi, jak to D-r Stewart, liczący się do rzędu wyższych, uczonych lekarzy angielskich, wygłosił obecnie na dorocznem posiedzeniu Londyńskiego. Tow. Lekarskiego, wykazując iż kobiety lekarki zasługują na najwyższe uznanie. Osiadają one po miasteczkach małych, po wsiach parafialnych, gdzie działalność ich nazwać można zbawienną, bo nietylko dają one ludności miejscowej pomoc w chorobie, ale przez bezpłatne odczyty miewane po miastach i wsiach parafialnych, rozszerzają między luddością, zwłaszcza między kobietami, wiadomości szczególniej z zakresu hygieny i wychowania dzieci.

Dziecinny pokój podczas zimy.

Z okien mego mieszkania mam widok na ogród,—latem oczy me zachwycały się nietylko zielonością drzew i żywemi barwami kwiatów, znalazłam tam również miłych towarzyszów i przyjaciół, i przypatrywałam się ich życiu i zwyczajom; w górze — wesołe ptaszęta świegotały na szczytach lip i kasztanów, zaś w dole, na trawnikach i wzgórkach piaszczystych, bawiło się troje dzieci mych sąsiadów z przeciwka: dwuletnia dziewczynka i dwaj jej braciszkowie, jeden o rok od niej, drugi o tyleż od niego starszy.

Teraz wszystko się uciszyło, i pustka zapanowała w ogrodzie, jesień zbliża się ku końcowi, opadły liście, zwisły gałęzie i komary; nocne przymrozki zważyły spóźnione kwiaty; zniknęły szpaki, ucichło na wzgórkach i łąkach.

Pierwsze płatki śniegu padają z mglistego nieba, zwiastując nadejście srogiej zimy, ktora zmienia zupełnie tak widoki natury, jak zwyczaje ludzi, i więzi w pokoju świat dziecięcy przywykły do bujania na swobodzie, podczas pogodnych dni cieplejszej pory. Odtąd pokój dziecinny jest ich państwem, w którem żyją, i większą część dnia używają ruchu. Nasze sąsiadki litują się nad biednem więzionem drobiazgiem, o które matka nadmiernie troszczy się i niepokoi. Pozwalają one swym maleństwom wychodzić na dziedziniec i ulicę; nie chcą bowiem wychować zniewieściałego pokolenia, lecz sposób ich zapatrywania nie wpływa wcale na sąsiadów z przeciwka, a babcia staruszka, pomimo sędziwego wieku prowadząca rządy domu, wcale słyszeć nie chce o zahartowywaniu swych wnucząt.

Wychowana na wsi, powtarza z przekonaniem przysłowie „Przyjdzie czas na wszystko.“

Wprawdzie nie więzi swych wnucząt bezustannie, pozwala niekiedy wyprowadzać młode istotki na powietrze, lecz poprzednio bada skrupulatnie wysokość temperatury, oraz kierunek chorągiewki na sąsiedniej wieży kościelnej. Staruszka ma trochę oryginalne poglądy, i jest cokolwiek upartą, tak przynajmniej twierdzą młode matki;—pewnego dnia naprzykład zatrzymała dzieci w domu, chociaż niebo było pogodne, a słońce jasno świeciło! Następnego znów dnia, śnieg padał, a maleństwa wyprowadzono na przechadzkę.

Na cichej naszej uliczce słychać turkot powozu; zatrzymuje się on przed bramą sąsiedniego domu; jestto powóz lekarza.

Wszyscy zadają sobie pytanie kto obok zachorował? Okazuje się że u sąsiadów z drugiego piętra, zasłabł mały pucołowaty chłopczyna, który wychodził na spacer owego pogodnego dnia, dziś biedactwo leży w łóżeczku i silną ma gorączkę.

Biedna młoda matka pielęgnuje go zasmucona, doktor bowiem grozi zapaleniem płuc. Chłopczyk przeziębił się pomimo pięknej, lecz jak się okazuje zwodniczej pogody.

„Dzieci i kurczątka należy chować w cieple.“ Gdyby matki dokładniej były poinformowane co do wpływu zimnego powietrza na dzieci, wieleż uniknęłyby zmartwień, trosk, i nieprzespanych nocy. Zima jest groźną porą dla dzieci, i zabiera corocznie liczne ofiary, w skutek katarów i zaziębień. Gdy w lecie głównie strzedz należy dzieci od wszelkich chorób żołądkowych, w zimie znów chronić je trzeba troskliwie od przeziębień.

Wyobrażenia panujące w ogóle co do wytrzymałości dzieci na zimno, niekiedy są zupełnie błędne. Znakomity pewien lekarz professor wyraził się w tej kwestyi, w następujący sposób:

„Gdy temperatura jest poniżej zera, powietrze jest tem niebezpieczniejsze im więcej mroźne i suche; a zupełnie obojętną jest rzeczą czy słońce przygrzewa lub nie. Suche zimne powietrze działa drażniąco i bezpośrednio na błonę śluzową, i może spowodować stan zapalny.

Dla dzieci zaś, skutki są tem groźniejsze, że kanał oddechowy jest znacznie węższy, niż u dorosłego człowieka. Powietrze wilgotne, dżdżyste, przy temperaturze powyżej punktu zamarzania, bez porównania jest bezpieczniejsze, deszcz nie stanowi tu żadnej przeszkody, jeśli dziecko jest odpowiednio ubrane i zabezpieczone; mgła przeciwnie działa szkodliwie, i tem jest niebezpieczniejszą im temperatura jest niższą.“

A zatem babcia z przeciwka jest pod tym względem, tak doświadczoną jak ów uczony professor, który bada temperaturę przed wyprowadzeniem dzieci na przechadzkę, chroni je od wpływu zimnego suchego wiatru wschodniego i północnego, nawet gdy słońce roztacza swe zwodnicze promienie; przeciwnie nie obawia się wcale wiatru zachodniego, gdyby nawet niósł za sobą śnieżną zawieruchę. Zapytana o radę w tej kwestyi, zachęcałaby do wyprowadzania dziatwę nie zajętą szkolnemi obowiązkami, na powietrze, tylko przy lekkim mrozie do 3° R. najwyżej, i to nie na długo. Gdy mróz silniejszy, lepiej jest zatrzymać małe dzieci w domu, gdyż niebezpieczeństwo przeziębienia jest większe niż pożytek jaki może przynieść krótka przechadzka na świeżem powietrzu. Gdy konieczność wymaga wyprowadzić dzieci podczas mrozu, należy usta zasłonić lekko chustką, którą dziecko jest obwiązane, a przez to oddychać ono będzie powietrzem nieco ogrzanem.

Oby matki chciały zastosować się do rad powyższych. Oby chciały pamiętać, że równie ważnem jest ochraniać małe dzieci w zimie od zaziębienia, jak w lecie od chorób żołądkowych! Niemożna zahartowywać małych dzieci zawcześnie, a pora zimowa najmniej jest ku temu właściwą. Wszystkie powyższe względy, składają się na to, że dzieci skazane są w zimie, przeważnie na przebywanie w pokoju, a na hygienę jego, głównie w tym czasie zwracać należy uwagę. Podczas ostrych mrozów, pozbawiając dzieci z konieczności swobody ruchu na świeżem powietrzu, powinniśmy starać się usilnie, aby im to powetować w inny sposób, gdyż przebywanie w zamkniętym pokoju, mogłoby przynieść szkodę ich zdrowiu.

Głównie zwracać należy uwagę na powietrze, które powinno być przedewszystkiem czyste i właściwie ogrzane. Zastosowanie się do tych warunków, jest niekiedy kwestyą zależną od majątkowego położenia rodziny. W mieszkaniach o jednym pokoju, w którym śpi się, jada i gotuje, powietrze pomimo jaknajczęstszej wentylacyi, czystem być nie może, i wiele pod tym względem pozostawia do życzenia. Bogaci ludzie, zajmujący obszerne mieszkania, bezwątpienia mogą dzieciom swym dostarczyć dobrego w domu powietrza. Lecz uważając tak szczęśliwe warunki za wyjątkowe, zajmiemy się głównie rodzinami średniej zamożności, gdyż te są najliczniejsze. Większa część matek, może przy uwadze i troskliwości zapewnić swym dzieciom tak ze wszech miar pożądane i potrzebne im świeże powietrze, nawet nie posiadając oddzielnego dziecinnego pokoju. W tym celu, należy przeznaczyć dwa największe i najlepiej oświetlone pokoje na sypialnię i jadalnię, i codzień podczas zimy, w obydwóch pokojach regularnie palić w piecach. Raniutko, gdy dzieci śpią jeszcze, pokój bawialny sprzątnąć, dobrze przewietrzyć i w piecu napalić; po przebudzeniu się dzieci, przeprowadzić je do jadalnego pokoju, gdzie pozostać mogą do obiadu; przez ten czas, sprzątnąć, przewietrzyć i ogrzać pokój sypialny. Po obiedzie, spożytym należy znów okna w nim poroztwierać, a dzieci przeprowadzić do sypialnego pokoju. Na herbatę lub wieczerzę, wszyscy domownicy zbierają się według zwyczaju w jadalnym pokoju, a sypialnię raz jeszcze przed nocą przewietrzyć należy. Po zamknięciu okien, gdy powietrze cokolwiek się ogrzeje, dzieci mogą iść na spoczynek. Przy takiem urządzeniu domu, powietrze będzie mieszkania dostatecznie świeże, jeśli tylko nie popsujemy go nieopatrznie. Pani domu powinna stanowczo zabronić w tych dwóch pokojach, wszelkich gospodarskich czynności, jak prania i gotowania; ojciec rodziny zaś, unikać palenia w nich tytoniu.

Panowie wyobrażają sobie że dym tytuniowy działa dezynfekcyjnie, a za tem, że nie jest szkodliwy; dezynfekcyjna siła dymu tytuniowego jest zerem, gdy idzie o zabezpieczenie od zaraźliwej choroby, gdy tymczasem wydobywają się z niego, tlenek węgla, i kwas pruski, pierwiastki trujące i działające niekorzystnie na zdrowie dzieci.

16° R. lub 20° C., jest właściwą temperaturę dziecinnego pokoju, a termometr nie powinien wisieć zbyt wysoko, lecz mniej więcej na wysokości ramion; pamiętajmy bowiem że powietrze więcej się ogrzewa w wyższych warstwach, a dzieci bawią się i biegają na podłodze.

W sypialnym pokoju, temperatura powinna wynosić około 10° R. lub 12° do 13° C. z wyjątkiem pomieszczenia dla niemowląt potrzebujących większego ciepła.

Baczyć przy tem należy, aby dzieci nie odkrywały się podczas nocy, mogło by to bowiem spowodować przeziębienie, nie dobrze jest jednak dla uniknięcia tego, przywiązywać kołderki do łóżek, lepiej ubierać dzieci na noc w długie flanelowe kaftaniki.

Jedną z częstych przyczyn zaziębienia jest chłodna posadzka; w ogóle unikać należy pomieszczenia dziecinnego pokoju będącym po nad nieogrzaną sienią, bramą i t. p., lecz i bez tego posadzka bywa zimną, a trudno jest ustrzedz dzieci od tego, aby nie klękały, i nie bawiły się na ziemi. Z tego powodu, od pewnego czasu zaczęto wyściełać posadzkę dziecinnego pokoju, dywanami, lub zwierzęcemi skórami, zabezpieczającemi w istocie od przeziębienia. W ostatnich znów czasach, wypowiedziano wojnę dywanom, na zasadzie, że są zbiornikami pyłu, a tem samem, że mogą się w nich gnieździć bakterye zaraźliwe.

Nie jest to jednak pogląd uzasadniony. Zarazki musiałyby w takim razie być przeniesione z zewnątrz domu, a dostawałyby się na dywan z pyłem obuwia. Taki sposób przenoszenia zaraźliwych chorób, należy bezwątpienia do wyjątków; w ogóle do rozszerzenia zarazku przyczynia się zbliżenie osób mających styczność z choremi, użycie cudzych zabawek, ubrania i t. p., a w takim razie zupełnie obojętną jest rzeczą, czy dywan leży na podłodze. Niekorzystnie oddziaływać mogą tylko dywany przybite do podłogi i zdejmujące się do trzepania raz na kwartał, lub na rok, lecz przeciwko małym dywanikom czyszczonym codziennie, nie ma racyi głosu podnosić. Przeciwnie pokój zasłany dywanem wymaga więcej starania przy sprzątaniu, należy się strzedz aby go nie poplamić, większy porządek musi być zachowywany, co tylko korzystnie wpłynąć może. Wziąwszy pod uwagę, że dywan chroni dzieci od przeziębienia, które powiększa skłonność do zaraźliwych chorób, przyjdziemy do przekonania że dywan jest potrzebnym w pokoju dziecinnym.

Należy rozpościerać go gładko, uważać aby się nie załamywał, i nie fałdował, dla zabezpieczenia dzieci od upadnięcia.

Bardzo pożytecznemi dla dzieci są ciepłe kąpiele, brane raz lub dwa razy tygodniowo, co zaś do oblewań zimną wodą, lepiej jest zaniechać ich podczas zimy. Starsze osoby nie zawsze dobrze znoszą tego rodzaju hartowania się, a dla dzieci zimna woda w czasie ostrej zimy, może być powodem przeziębienia. Zresztą wiele zależy od organizmu, niekiedy takie środki z dobrym skutkiem stosować można lecz zawsze nadzwyczaj ostrożnie i umiejętnie, dla dzieci słabowitych, mało krwistych, potrzebujących więcej ciepła, stanowczo unikać należy takiego sposobu hartowania.

W zimie, częściej niż w innej porze, dzieci narażone są na różnego rodzaju wypadki w swoim pokoju. Oświetlanie i ogrzewanie prowadzi za sobą niebezpieczeństwo wypadków z ogniem, i corocznie mnóstwo dzieci ulega oparzeniom mniej lub więcej ciężkim.

Przeciwko tym niebezpieczeństwom, należy także przedsięwziąść środki ochronne, zdarza się bowiem, że nawet jaknajbardziej troskliwa matka zmuszoną jest pozostawić na chwilę dzieci samym sobie, zajęta obowiązkami gospodyni domu. Starać się więc należy o to, aby palenie w piecach, i zamykanie ich odbywało się podczas nieobecności dzieci w pokoju, a kominki powinny być zabezpieczone kratami żelaznemi, niedopuszczającemi zbliżenia do płonącego ognia; garnków i kubłów z gorącą wodą nie należy nigdy stawiać w tym pokoju gdzie są dzieci, a przynajmniej gdy są same, a kręcenia się po kuchni stanowczo im zabronić. Ta ostatnia przestroga odnosi się tak do pory zimowej jak i do lata.

Najbardziej rozpowszechniony sposób oświetlenia mieszkań, jest za pomocą nafty, jest to sposób dziś ekonomiczny i nie przeciwny hygienie, lecz należy baczną zwracać uwagę na lampy, gdyż zdarzają się często wypadki z naftą. Przed kilkoma laty pojawiły się tak zwane lampy bezpieczeństwa, gasnące same wrazie upadku na ziemię, lecz widocznie nie okazały się praktyczne, gdyż nie znalazły poparcia u publiczności, trzeba więc w inny sposób dzieci od wypadku z lampą zabezpieczyć.

Najkorzystniej pokój dziecinny zaopatrzyć w lampę wiszącą, a gdy używamy stojącej, należy zwrócić uwagę na to, aby stół lub też inny sprzęt, przeznaczony na postawienie lampy stał mocno, nie był wywrotny i nie przykryty serwetą. W ogóle serwetę na stół należy zupełnie wykluczyć z pokoju dziecinnego, aby uniknąć wypadków ściągania wraz z nią na ziemię przedmiotów będących na stole

Wszystkie te rady, z powodu swej prostoty wydadzą się może czytelniczkom zbytecznemi, a jednak doświadczenie uczy, jak często takie środki ostrożności bywają zaniedbywane; ta okoliczność skłania nas do wypowiedzenia tych kilku słów przestrogi. Dłuższe przebywanie dzieci w domu podczas zimy ma wiele stron dodatnich, przyczynia się bowiem do ściślejszego, serdecznego stosunku matki z dziecięciem. W tym zacisznym choć skromnie urządzonym przybytku, wśród zabawy i rozmowy, matka najlepszą ma sposobność poznać duszę i serce swego ukochanego dziecięcia, oraz jego skłonności; złe w zarodku wykorzenić; wzmocnić szlachetne i dobre popędy serca, badać wreszcie rozwój jego umysłu.

Szczęśliwem może nazwać się dziecko, które o szarym zmroku zimowym, na kolanach matki, uczyło się kochać prawdę i dobro! Wspomnienie dziecinnego pokoju i tych chwil błogich, rozkoszą serce jego napełnia i w późniejszem życiu, a nieraz od złego strzeże.

Młoda matka powinna więc starać się o to, aby pokój dziecinny będący pierwszą szkołą przyszłego pokolenia, skuteczny swój wpływ wywierał tak na fizyczne jak na duchowe zdrowie wychowańców.

Z bieżącej chwili.

— Dzienniki petersburskie donoszą, że ministeryum finansów pracuje obecnie nad projektem jednostajnej rachunkowości i formy sprawozdań wszystkich w państwie towarzystw akcyjnych w celu ułatwienia rewizyi rządowej.

— W ciągu bieżącego tygodnia odbędzie się poświęcenie kaplicy przedpogrzebowej przy kościele Ś-go Floryana na Pradze, roboty już są na ukończeniu.

— W celu zachęcenia ludności robotniczej do składania oszczędności swoich w kantorze Banku Państwa podniesiono sprawę otworzenia jeszcze kilku filii kassy oszczędności w dzielnicach zamieszkanych przez wspomnianą ludność. Według projektu kassy mają być otwarte na Woli, na Powiślu i na ulicy Czerniakowskiej.

— Warszawskie Tow. Dobroczynności posiada kapitały wieczyste, powstałe z ofiar i zapisów, a które z końcem zeszłego roku wynosiły 1.287.245 rs. i lokowane są na hypotekach, w papierach procentowych, oraz w kantorze Banku Państwa. Prezes zarządu, ks. Lubomirski Tadeusz, podał do wiadomości na zebraniu ogólnem, iż w 1894 r. poczynione zostały zapisy przez osoby następujące: Roman Holizer rs. 400, Ewa Stankiewiczowa 1.000 rs., Marya Dąbkowska 150 rs., Mikołaj Spaski 15.000 rs. do rozdania pomiędzy najbiedniejszą ludność Warszawy w myśl zapisodawcy testamentu.

— P. Edmund Jankowski przedstawił Tow. ogrodniczemu projekt, aby na wzór miast zagranicznych Towarzystwo uczyniło dostępnem dla wszystkich te wiadomości ogrodnicze, które uprzystępniłyby rozwój ogrodnictwa kołom szerszym. Stać się to może w sposób łatwy, gdyby wykształceni ogrodnicy, każdy w swojej specyalności pokazywali w oznaczonych dniach i godzinach, zrazu w różnych ogrodach prywatnych a następnie w ogrodzie Towarzystwa, jak się wykonywają ważniejsze roboty ogrodnicze. P. Jankowski dodaje zarazem, aby dzienniki zawiadamiały publiczność, iż w dzień taki a taki, nie wyłączając Niedzieli, pokazywać się będzie, jak należy zakładać inspekta, jak się z niemi obchodzić. Innym razem, możnaby pokazywać jaką ma być hodowla roślin w szklarniach, w ogrodach. Program tych praktycznych demonstracyi opracowywałyby komissye stale każdorocznie, starając się ująć rzecz w pewien porządek systematyczny.

— W gmachu pobernardyńskim w Kazanowie ma być urządzonym szpital. Kościół, należący niegdyś do klasztoru, jest zamknięty dla braku funduszów na utrzymanie plebana. Organista, Kobędzki, opiekuje się kościołem i gmachem klasztornym.

— Ziemianie z okolic Płocka złożyli 1,000 rs. z celem ożywienia wspólnemi siłami zbytu wytworów gospodarstwa i przemysłu rolnego. Zakupiono też w mieście pomienionem budynek na śpichrz i ma tam powstać spółka z celem prowadzenia handlu zbożem i zarazem utrzymywania składu nasion, nawozów sztucznych, narzędzi rolniczych, żelaza i węgla. Uczestnicy spółki powierzyli zajęcie się temi sprawami wybranym z pomiędzy siebie ziemianom, pp. Grabowskiemu, Kozłowskiemu, Gościckiemu i Wolibnerowi. Obok tego w okolicach Mławy i Ciechanowa ma się zawiązać współka w zakresie pracy kobiecej, prowadząca handel nabiałem i zamierzająca wznieść fabrykę serów.

— Staraniem krakowskiego Towarzys. ogrodniczego odbyła się z wielkiem powodzeniem wystawa chrizantemów, inaczej jastrunów, lub złocieni. Mnóstwo tych pięknych roślin wystawili tak ogrodnicy, jak i hodowcy amatorowie.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: powieść **Rubikon**, przez E. F. Benson. Przekład z angielskiego ark. 1.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz“ w roku przyszłym wychodzić będzie pod dotychczasową redakcyą.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

TREŚĆ: Kobiety w życiu Danta.—Bez woli, powieść przez Wandę Grot Bęczkowską (dalszy ciąg). — Nowości muzyczne, przez Jana Kleczyńskiego.—Z Rzymu przez Augusta.— Moje hyacynty, przez Z. S.—Kronika działalności kobiecej.—Dziecinny pokój podczas zimy.—Z bieżącej chwili

Dodatek obejmuje: Rubikon, powieść, przez E. F. Benson, przekład z angielskiego ark. 1.—Przegląd mód.—42 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya stołu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66. Redaktor Odpowiedzialny Michał Glücksberg.
Дозволено Цензурою.—Варшава, 23 Ноября 1894 г.